Keith Laumer

Zły dzień dla robactwa

(A Bad Day for Vermin)

`

Galaxy Science Fiction, February 1964
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Sędzia Carter Gates z Trzeciego Sądu Okręgowego skończył swoją sałatkę z kurczaka, na pełnoziarnistym chlebie, w zamyśleniu zgniótł torebkę z woskowanego papieru, odwrócił się by wrzucić ją do kosza na śmieci za swoim krzesłem… i zamarł bez ruchu.

Za oknem swojego znajdującego się na drugim piętrze biura, zobaczył coś podobnego do czterdziestostopowego kwiatu, o płatkach w kolorze bladego turkusu, opadającego łagodnie na dobrze utrzymaną grządkę petunii, na trawniku gmachu sądu. Z górnego, albo położonego od strony łodygi, końca statku, wyskoczył prześwitujący różowy panel i wyłoniła się z niego falistym ruchem, smukła, pełna gracji postać nie różniąca się specjalnie od dużej, fioletowej gąsienicy.

Sędzia Gates okręcił się do telefonu. Pół godziny później, oznajmił urzędnikom, stojącym w zwartej grupie na trawniku:

— Chłopcy, to stworzenie jest inteligentne, każdy głupiec to przyzna. Przywiozło ze sobą coś, co jak zapewnia mnie mój chłopak, jest jakąś maszyną mówiącą, i w każdej chwili może zacząć się z nami komunikować. Dwadzieścia minut temu powiadomiłem o wszystkim Waszyngton. Zapewne długo nie potrwa zanim ktoś tam nie zdecyduje, że sprawa jest ściśle tajna i zamknie nam gęby na kłódkę tak, że w porównaniu tym Projekt Manhattan wyglądał jak kampania reklamowa. A więc, powiadam wam, że to największa sprawa, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w Plum County – ale jeśli nie chcemy zniknąć z pola widzenia, to lepiej się pośpieszmy.

— Co pan ma na myśli, panie sędzio?

— Proponuję, żebyśmy przeprowadzili otwarte wysłuchanie, tutaj w gmachu sądu, od razu kiedy ten stwór uruchomi swój sprzęt. Puścimy je w eter – Tom Clembers ze stacji radiowej, jak widzę, już zaczął rozciągać swoje kable. Szkoda, że nie mamy sprzętu telewizyjnego, ale Jody Hurd ma kamerę filmową. Dzięki nam więcej ludzi będzie wiedziało gdzie leży Willow Grove, niż Cap Canaveral.

— Jesteśmy w tej sprawie z panem, panie Carter.

Dziesięć minut po tym, jak melodyjny głos translatora Fianna poprosił o odstawienie go do przywódcy wioski, gość spoglądał na zatłoczoną salę sądową z miną podobną do swawolnie hasającego szczeniaka bernardyna. Szmer szurających nóg i odchrząkiwanych gardeł stopniowo ucichł i głośnik rozpoczął:

— Ludzie z Zielonej Planety, szczęśliwego cyklu…

Wszystkie głowy odwróciły się na ciężki tupot nóg, przemieszczający się wzdłuż przejścia między rzędami siedzeń; mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, łysy, w koszuli i spodniach khaki, wyszarpnął ciężki niklowany rewolwer kalibru .44 z kabury, wycelował i oddał pięć strzałów w ciało Fianna, z odległości dziesięciu stóp.

Fioletowa postać szarpnęła się konwulsyjnie, zsunęła się z ławy sądowej na podłogę, z odgłosem przypominającym upadający mokry wąż

strażacki, wydała z siebie dyszący świergot i znieruchomiała. Strzelec odwrócił się, rzucił broń, uniósł do góry ręce i zawołał:
— Szeryfie Hoskins, proszę o ochronę prawa.

Zapanowała chwila oszołomionego milczenia; potem gwar i pośpieszne przemieszczanie się widzów w stronę obcego. Przez wrzeszczący tłum przepchnęła się trzystudziewięciofuntowa postać szeryfa, i stanęła przed ubranym w khaki mężczyzną.
— Zawsze wiedziałem, że jesteś paskudnym typem, Cecilu Stump — powiedział, wyciągając kajdanki, — już od czasu kiedy zobaczyłem, jak robiłeś przynęty z pokruszonego szkła dla psa Joego Pottera. Ale nigdy bym nie pomyślał, że możesz zmienić się w zimnokrwistego mordercę. — Machnął ręką na gapiów. — Zróbcie mi przejście; zabieram więźnia do aresztu.
— Tylko jedną cholerną chwileczkę, szeryfie — twarz Stumpa była blada, okulary gdzieś zniknęły, a szelka w kolorze khaki zwisała urwana. Ale jeden z jego mięsistych policzków, wykrzywiał się niemalże w uśmiechu. Schował ręce za plecami, nie dając sobie założyć kajdanek. — Nie podoba mi się słowo „więzień”. Lepiej by również było, gdyby unikał pan słowa „morderca”. Ja nikogo nie zamordowałem.
Szeryf zamrugał oczyma i odwrócił się by ryknąć:
— Jak jest z ofiarą, doktorze?
Niewielka szara głowa uniosła się sponad bezwładnej postaci Fianna.
— Martwy jak kamień, szeryfie.
— Tak też myślałem. Idziemy, Cecil.
— O co jestem oskarżony?
— Morderstwo z premedytacją.
— Kogo to niby zamordowałem?
— Przecież zabiłeś tego tutaj… obcego.
— To nie jest żaden obcy. To robal. Morderstwo powinno mieć coś wspólnego z zbijaniem ludzi, a przynajmniej tak to rozumiem. Czy chciałby mi pan powiedzieć, że to jest człowiek?
Dziesięciu ludzi wykrzyknęło jednocześnie:
— …człowiek, taki sam jak ja!
— …inteligentna istota!
— …nie mów mi, że można tak po prostu zabić…!
— …musi być jakieś prawo na tego tutaj…!
Szeryf uniósł ręce, jego szczęka napięła się w ponurej minie.
— A co pan o tym powie, sędzio Gates? Czy jest jakieś prawo na to, że Cecil Stump zabił to… ehmm…?
Sędzia ściągnął dolną wargę.
— No cóż, pomyślmy — rozpoczął. — Technicznie…
— Dobry Boże! — ktoś wybuchnął. — Ma pan na myśli, że przepisy dotyczące morderstwa nie definiują tego co decyduje, że… chciałem powiedzieć, czym…

— Czym jest człowiek? — parsknął Stump. — Niezależnie co one mówią, to założę się, że nie to obejmuje purpurowych robali. To był robal, jak jasna cholera. Nie ma żadnej różnicy w zabiciu tego, czy każdego innego paskudztwa.

— No to, na Boga, dopadniemy go za celowe złośliwe zniszczenie — zawołał mężczyzna. — Albo polowanie bez licencji – poza sezonem!

— …posiadanie nielegalnej broni!

Stump sięgnął do kieszeni na biodrze, znalazł w niej tłusty, bezkształtny portfel i wyciągnął z niego zniszczony prostokąt złożonego papieru, podając go szeryfowi.

— Jestem licencjonowanym tępicielem szkodników. Mam też pozwolenie na broń. Nie złamałem prawa. — Teraz już otwarcie wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ja tylko wykonuję swoją pracę, szeryfie. I nie żądam od hrabstwa nawet grosza.

Niewielki mężczyzna, z najeżonymi rudymi włosami popatrzył z rozdętymi z gniewu nozdrzami na Stumpa:

— Ty krwiożerczy idioto! — Uniósł pięść i potrząsnął nią. — Staniemy się narodową hańbą – gorszą niż Little Rock! Zlinczować cię, to dla ciebie za mało!

— Niech pan trzyma nerwy na wodzy, Weinstein! — wtrącił się szeryf. — Proszę nie zaczynać gadania o linczu.

— Lincz, dobre sobie! — zaryczał Cecil Stump, z nagle poczerwieniałą twarzą. — Przecież ja wyrządziłem przysługę każdemu z tu obecnych! A teraz posłuchajcie mnie! Czym jest to stworzenie, które tam leży? — Machnął palcem w stronę ławy sądowej. — To jakiś paskudny stwór z Marsa, czy jakiegoś innego miejsca – wiecie to równie dobrze, jak i ja. A po co tu przylazł? Na pewno nie dlatego, że tak bardzo polubił was czy mnie, to mogę wam powiedzieć na pewno. My, albo oni. I tym razem, jak mi Bóg miły, to my pierwsi nieźle im przywaliliśmy!

— Skąd ten pomysł, ty… ty… handlarzu nienawiścią!

— Zaraz, może bez takich tutaj. Jestem równie liberalnie nastawiony, jak każdy zwykły człowiek. Do diabła, nawet lubię Murzynów – i nie powiem, że Żydzi to nie Biali. Ale kiedy mamy do czynienia z pieprzonym purpurowym robalem i nazywa się go człowiekiem – tutaj muszę postawić granicę.

Szeryf Hoskins wsunął się między Stumpa i zbijające się coraz bardziej czoło tłumu.

— Ani kroku do przodu!! Natychmiast się rozejść, w spokoju, i pozostawić tę sprawę prawu.

— Spokojnie, szeryfie. Chyba dam radę się obronić. — Stump podciągnął do góry pas. — Na początku myślałem, że może będzie musiał pan ich uspokoić, ale teraz kiedy mogą sobie wszystko przemyśleć i zrozumieć, że ja nie złamałem prawa, to żaden z tych praworządnych obywateli nie zrobi niczego nielegalnego – tak jak próba wchodzenia w drogę licencjonowanemu deratyzatorowi, wykonującemu swoją robotę.

Pochylił się i podniósł swoją broń.

— Chwileczkę, a to, to wezmę ja — oznajmił szeryf Hoskins. — Możesz uważać, że twoja licencja na broń została anulowana… i twoja licencja deratyzatora, także.

Stump, znowu uśmiechnięty od ucha do ucha, wręczył mu rewolwer.

— No pewnie. Z chęcią się dostosuję. Proszę odesłać mi go do domu, kiedy to wszystko się już skończy.

Przepchnął się przez tłum do drzwi na korytarz.

— Reszta z was zostaje na miejscu! — Postawny mężczyzna z szopą siwych włosów na głowie przepchnął się do ławy sądowej. — Natychmiast zwołuję tutaj nadzwyczajne zebranie mieszkańców miasteczka!

Walnął młotkiem w porysowany blat ławy, spojrzał w dół, na ciało martwego kosmity, obecnie już przykryte flagą.

— Proszę państwa, musimy szybko zacząć działać. Jeśli agencje prasowe dorwą się do sprawy zanim my się nią zajmiemy, Willow Grove będzie skończone.

— Niech pan posłucha, Willard — zawołał sędzia Gates, wstając. — Ten… ten tłum nie jest kompetentny do podjęcia żadnych działań prawnych.

— Nie roztrząsajmy teraz, kwestii zgodności z prawem, panie sędzio. Pewnie, to aż się prosi o przekazanie sprawy do legislacji federalnej – może nawet o poprawkę do konstytucji – ale w międzyczasie możemy redefiniować, co określa fizyczną osobę ludzką, w obrębie granic Willow Grove!

— To minimum tego, co możemy zrobić — ostro rzuciła kobieta o szczupłej twarzy, gniewnie patrząc na Gatesa. — Myśli pan, że będziemy tutaj tak stali i zignorujemy tę zbrodnię!

— Nonsens! — wykrzyknął Gates. — To co się tutaj stało, nie podoba mi się, tak samo jak i pani – ale osoba ludzka… no cóż, osoba ludzka posiada dwie ręce, dwie nogi i…

— Kształty nie mają z tym nic wspólnego — wtrącił się przewodniczący. — Niedźwiedzie chodzą na dwóch nogach! Dave Zawodzki stracił swoje na wojnie. Małpy mają ręce.

— Każde stworzenie inteligentne… — rozpoczęła kobieta.

— Nie, to również się nie nadaje; mój nieszczęsny mały kuzyn Melvin, urodził się jako imbecyl, biedny chłopak. No, ludzie, nie ma teraz czasu do stracenia. Z pewnością będzie bardzo trudno sformułować satysfakcjonującą definicję, opierając się na tego rodzaju dyskusjach. Myślę jednak, że uda nam się rozwiązać tę sprawę w sposób, który stanowić będzie podstawę dla przyszłego prawodawstwa w podobnych przypadkach. To przyniesie poważne zmiany w tych kwestiach. Myśliwym to się nie spodoba… a i przemysł mięsny zostanie dotknięty. Wydaje się jednak, że wchodzimy w epokę kontaktu z… ehmm… stworzeniami z innych planet, musimy więc naszą doprowadzić do porządku.

— Niech pan im powie jak, panie senatorze! — ktoś wrzasnął.

— Lepiej zostawmy tę sprawę dla Kongresu! — nalegał czyjś głos.

— Musimy coś zrobić…

Senator uniósł obie ręce.

— Uciszcie się, wszyscy. Za parę minut pojawią się tu reporterzy. Może nasza uchwała nie powstrzyma tego potopu. Ale spowoduje że zaczną myśleć – i to przyniesie znacznie lepszą prasę Willow Grove, niż zabijanie.

— Jaki pan ma pomysł, panie senatorze?

— Po prostu, taki: — oznajmił poważnie senator — osobą ludzką jest… każde nieszkodliwe stworzenie…

Nogi zaszurały. Ktoś zakaszlał.

— A co z człowiekiem, który popełni akt przemocy? — dopytywał się sędzia Gates. — Co z nim, hę?

— To chyba oczywiste, proszę państwa — stanowczo odparł senator. — Jest szkodnikiem, robactwem.

Cecil Stump stał u stóp schodów wejściowych gmachu sądu, z rękoma w kieszeniach, rozmawiając z reporterem z poważnej gazety w Mattoon, otoczony przez tłum nowoprzybyłych, których ominęły ekscytujące wydarzenia w środku. Opisał celność swoich pięciu strzałów, odgłos jaki wydały trafiając wielkiego niebieskiego węża, i absurdalnie śmieszne widowisko, jakie ten ostatni zaprezentował umierając. Mrugnął do przystojnego człowieka w roboczym kombinezonie, stojącego w pierwszym rzędzie tłumu.

— Myślę, że minie trochę czasu, zanim któryś z tych przeklętych gadów przyjdzie tu sobie, jakby to miejsce należało do nich — zakończył.

Drzwi sądu otworzyły się z hukiem; wylali się z nich podekscytowani ludzie, omijając dużym łukiem Cecila Stumpa. Tłum wokół niego przerzedził się, rozpraszając się zupełnie, zebrani pochwycili wychodzących z najświeższymi wieściami. Reporter przerzucił się na nowy cel.

— Może byłby pan tak uprzejmy, aby przekazać mi parę szczegółów odnośnie działań podjętych przez ten… hmm… Komitet Specjalny, panie senatorze?

Senator Custis zmarszczył wargi.

— Została zwołana sesja Rady Miejskiej — oświadczył. — Zdefiniowaliśmy kto w tym mieście jest osobą ludzką…

Stojący kilka stóp dalej Stump, parsknął.

— Nie możecie mnie tknąć na mocy żadnego prawa uchwalonego po fakcie.

— …i kogo można sklasyfikować jako robactwo — mówił dalej Custis.

Stump zamknął usta z kłapnięciem.

— I to niby ma być jakiś potrzask na mnie, Custis? Na Boga, zbliża się czas wyborów…

Drzwi na górze, ponownie się otworzyły. Pojawił się w nich wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce i stanął spoglądając na dół. Tłum odpłynął do tyłu. Senator Custis i reporter odsunęli się na boki. Przybysz powoli

zaczął schodzić po schodach. Niósł w dłoni niklowaną czterdziestkę czwórkę Cecila Stumpa.

Stający teraz samotnie Stump, obserwował go.

— Hej — powiedział. W jego głosie pojawił się nagły ton napięcia. — Kim ty jesteś?

Człowiek dotarł do końca schodów, uniósł rewolwer i odbezpieczył go kciukiem.

— Jestem nowym deratyzatorem — oznajmił.

KONIEC